



Brylanty panny Toli

- To najdziwniejsze zlecenie, jakie kiedykolwiek dostałem. – Wilhelm Pogorzelski zapalił papierosa i zgasił zapalnik machnięciem ręki. – Jeśli dobrze rozumiem, mam odnaleźć skradzione zwłoki, tak?

Ojciec Jan przechylił się w stronę detektywa i wsparł o blat biurka.

- To nie są zwykłe zwłoki – powiedział. - To zwłoki świętego.

Pogorzelski wydmuchał dym i podrapał się po nieogolonym podbródku. Jego zmęczona, kanciasta twarz nabrała wyrazu skupienia. Przez chwilę marszczył brwi, po czym znów zaciągnął się papierosem.

Poskręcana nikotynowa mgiełka zaczęła ospale krążyć po gabinecie proboszcza. Mijała pozastawiane książkami ściany, osiadała na drobnych, mahoniowych meblach, by w końcu wnikać w gruby, puszysty dywan i okienne zasłony, zza których pochmurne niebo straszyło groźbą nadchodzącego deszczu.

- Musi pan zrozumieć – podjął ksiądz na nowo – jak ważne jest dla mnie to ciało. Św. August jest patronem tej parafii. Jego zwłoki są niezwykle, zachowały się w nienaruszonym stanie przez setki lat. Ludzie wierzą, że czynią cuda. – Ksiądz pacnął ręką w stół, jakby chciał podkreślić te słowa. - W zeszłym roku nawet sam Paderewski się przy nich modlił, prosząc o szczęśliwą podróż za Wielką Wodę.

Wilhelm oparł się wygodnie na krześle i strzepnął popiół na dłoń, brudząc przy tym połę swojej wełnianej marynarki.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie znam się na muzyce – odparł. - Na świętych też nie. Niech mi ksiądz powie coś więcej o tym Augustynie.

Blizna na wysokim czole duchownego – jak dowiedział się Pogorzelski – pamiątka z Wielkiej Wojny - zwinęła się lekko pod wpływem grymasu, jaki wykwitł na obliczu księdza. Taką minę jego twarz przybierała zawsze, gdy ktoś przeszkadzał mu w wygłaszaniu kazania.

Choć Wilhelm był przyzwyczajony, że wśród nowopoznanych zyskuje sobie zazwyczaj tyle samo sympatii, co nadepnięte grabie, dziwiła go

rezerwa, z jaką Ojciec Jan go traktował. Niechęć ta była widoczna, jeszcze zanim Wilhelm mógł dać do niej powody. I choć w jego zawodzie zdarzało się to wcale często, w tym przypadku było to dla Pogorzelskiego dość zaskakujące.

Duchowny splótł dłonie, zastukał parę razy kciukiem o kciuk, po czym zaczął mówić:

- Św. August zmarł w XV wieku. Był męczennikiem. Po śmierci jego ciało nie ulegało rozkładowi, co jednogłośnie zostało uznane za objaw świętości.

Wilhelm zgiął usta w ironicznym uśmiechu.

- Idąc tym tropem – wtrącił się - status świętego równie dobrze można by przyznać suszonym pomidorom.

Twarz księdza zadrżała i Wilhelm usłyszał zgrzytnięcie zębów - dźwięk, od którego mimowolnie skrzywił się.

- Proszę po prostu znaleźć to ciało. – Głos księdza był chłodny i ostry. Pogorzelski miał pewność, że mógłby się nim ogolić. – Nie proszę pana o więcej.

Wilhelm dostrzegł w jego oczach dziwną mieszankę strachu i zaciętości. Było pewne, że ksiądz nie mówi mu wszystkiego.

- Nasze miasto jest spokojne - zaczął po chwili Jan, już nieco łagodniej. - Nie mamy tu detektywów, a wolałbym nie mieszać w tę sprawę policji. Normalnie zająłbym się wszystkim sam, ale zależy mi na czasie. A skoro pan tutaj przyjechał...

Wilhelm uśmiechnął się, tym razem serdeczniej.

- Tak – przyznał. – Skoro już tu jestem, mogę wziąć jedno dodatkowe zlecenie. Mam nadzieję, że ksiądz wie, ile sobie liczę. Nie robię wyjątków.

- Wiem. I nie liczę na wyjątki.

Wilhelm zaciągnął się papierosem.

- Jak poznam tego... Augusta? – spytał.

- Święty August, choć martwy, wygląda, jakby spał. Jego zwłoki są w doskonałym stanie. Pachną różami. Nie sposób pomylić ich z żadnymi innymi.

Pogorzelski roztarł papierosa o podeszwę buta, po czym schował niedopałek do kieszeni. Ponownie podrapał się w podbródek i powiedział:

- Jestem tylko ciekaw, komu mogłyby być potrzebne te zwłoki. I do czego.

II

Igo Krylik przycisnął twarz do suchych włosów trupa i wbił się mocniej między jego pośladki. Wsłuchany w dobiegający z gramofonu Allemande z Suity C-Moll, smakował z zachwytem martwą skórę. Od jej dotyku jego członek pęczniał jeszcze bardziej. Igo starał się wbijać go coraz głębiej, dostosowując swoje ruchy do delikatnego rytmu fortepianu.

R a z.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

R a z.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Nadchodząca rozkosz przyprawiała go o dreszcze. Czuł, jak całe jego ciało poci się. Patrzył, jak sztywne zwłoki podrygują pod nim miarowo.

Igo wiedział, że już dawno powinien się ich pozbyć. Ciało trupa było sine. Wiśniowe plamy nie bladły, nawet pod naciskiem dłoni. Igo podejrzewał, że mężczyzna jest martwy zdecydowanie zbyt długo, by spędzać z nim czas w ten sposób. Musiał zostać zastrzelony przed kilkoma dniami. Zaschnięta krew na ranie po kuli łuszczyła się teraz, ścierana przez Krylika przy każdym ruchu.

Jednak Igo wiedział też, że kolejna taka okazja może się długo nie powtórzyć. A wtedy znów zacznie odczuwać tę obezwładniającą rządę.

Kiedy przyszedł koniec, był zawiedziony. Usiadł na podłodze, z uczuciem niedosytu. Chwilę błdził dłonią po stołowym blacie, aż ściągnął z niego leżącą tam fajkę. Dopiero teraz po czuł, że jest mu zimno.

Restauracyjna piwnica, pełna poustawianych równo produktów, tonęła w delikatnym mroku. Wsłuchany w szmer obracanej przez gramofon płyty, Igo przytknął zapalnik do cybucha.

W szybie stojącego przed nim kredensu zobaczył swoje odbicie. Zaczesane zazwyczaj na bok włosy, opadały mu teraz w nieładzie na oczy. Równy przycięty, drobny wąs, wyglądał na jego spoconej twarzy jak plama sadzy.

Na swój widok Igo znów poczuł dojmującą pustkę. Uczucie bezsensu, które towarzyszyło mu od dziecka. Do jego myśli wdarła się czarna plama, hamując ich tok. Ale Igo nie potrzebował myśleć. Potrzebował jedynie wtulić się w to leżące nad nim ciało i zasnąć. Zasnąć na zawsze.

Wiedział jednak, że jeśli zostanie tutaj zbyt długo, jego żona zacznie go szukać. Że zejdzie tu, nawet mimo wyraźnego zakazu z jego strony.

Kiedy wypalił fajkę, ubrał się i ruszył na górę. Szedł jak lunatyk, myśląc tylko o tym, żeby położyć się spać. Musiał odpocząć.

Rano czekało go dużo pracy.

III

Barbara Odolańska ścisnęła w dłoni zawieszoną na szyi perłę. Stojąc w obszernej, balowej sali, położonej we wschodniej części jej domu, z zawiedzioną miną oglądała kolekcję zdjęć i obrazów. Rozciągający się przed nią pokaźny zbiór przedstawiał różne osobistości, umieszczone tutaj bez wyraźnego porządku. Pisarze, naukowcy, poeci, politycy.

Stłoczeni w jednym rzędzie, jakby tylko dla przykrycia ścian. Sienkiewicz, Smoluchowski, Norwid, Narutowicz... Nazwisk było wiele. Jedne znane bardziej, inne mniej. Tutaj figurowały bez żadnej hierarchii.

Odwracając od nich głowę, Barbara spojrzała na trzymaną przez kamerdynera rycinę. Prosta, ikoniczna grafika przedstawiała św. Augusta.

- Zabierzcie to – rozkazała.

Służący wykonał polecenie, po chwili wrócił i na znak Barbary, podał jej papierosa w długiej, szklanej fice. Kobieta ujęła go między palce, zmrużyła lekko oczy, a drugą dłoń wsparła na biodrze. Stała tak przez chwilę, po czym wróciła do stołu.

Nikły blask zapalniczki rozświetlił jej ufryzowane w delikatne fale blond włosy. Jeśli ktokolwiek z zebranych nie był jeszcze przekonany do tego, co o Barbarze mówiono, teraz nie mógł mieć żadnych wątpliwości – rzeczywiście była piękniejsza od Lidii Wysockiej.

Kobieta wydmuchiwała smużkę dymu i zwróciła się do swoich gości:

- Przykro mi, że państwa rozczarowałam. Mam jednak nadzieję, że danie przygotowane w ramach rekompensaty również będzie odpowiadało państwa gustom.

Duże, dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i do środka wszedł Igo Krylik, ubrany w bogato zdobiony uniform szefa kuchni. Szedł dumnie, z włosami nieskazitelnie zaczesanymi na bok i z równo przyciętym wąsem, zadzierając głowę do granic bólu.

Podążająca za nim czwórka kelnerów wwiozła do sali dużą srebrną tacę.

Ułożona na tacy kobieta była naga. Choć wydawała się żywa, jej tępe spojrzenie pozbawione było przytomności. Poruszając bezwiednie wszystkimi mięśniami, drżała na całym ciele, raczej odruchowo, niż w wyniku bólu. Jej poparzona skóra odchodziła płatami, upstrzonymi kolorowymi kropkami przypraw, a wycięta w czole dziura, zionęła szarą plamą, ujętą w białe ramy czaszki.

Gdy mężczyźni doszli do stołu, Igo skłonił się, a Barbara odjęła od ust szklaną firkę i przemówiła:

- Oliwia Ciechan-Szucka. Poetka, malarka, kochanka Witkacego, a swego czasu jedna z potępienic, jakie zbierał przy sobie Przybyszewski.

Kelnerzy przenieśli tacę na stół. Część z siedzących przy nim osób powyciągała z nosa nasączoną eterem ligninę. Sięgając po sztucce, uśmiechała się, z twarzami, jakie czasami można dostrzec po nieudanej lobotomii na obliczach podopiecznych przytułków dla umysłowo chorych.

- Wyjątkowy intelekt, wyjątkowa artystka – kontynuowała Barbara. - Studiowała chemię na Uniwersytecie Monachijskim. Swoje talenty odkryła dosyć późno. Szybko jednak została doceniona przez tamtejszą bohemę i wtedy też dostała się pod skrzydła Przybyszewskiego.

Na znak Barbary, kamerdyner zawiesił w miejscu, w którym miała znaleźć się rycina ze świętym Augustem, fotografię przedstawiającą en face Oliwię Ciechan-Szucką.

- Ale dość już tej prezentacji – zakończyła Barbara. - Może zechce pan zacząć, panie ministrze?

Mężczyzna nazwany ministrem cmoknął i przy pomocy noża odciął wąski płat mózgu, kładąc go następnie na swoim talerzu. Reszta zebranych także chwyciła sztucce i zaczęła odkrajać kawałki ciała. Minister przeżuł kęs, upił łyk wina i spojrzał na Barbarę.

- Nie chcę wyjść na malkontenta – powiedział po chwili – ale to nie jest to, czego oczekujemy. Już Dość najadłem się artystów i naukowców. Obiecała nam pani coś innego i dopóki tego nie dostaniemy, nasze opłaty członkowskie nadal będą zawieszone.

Barbara uśmiechnęła się, a trzymana przez nią szklana firkę pękła pod wpływem nacisku.

Minister nie zwrócił na to uwagi, zajęty posiłkiem.

- Mogą państwo mieć pewność – powiedziała pewnym głosem Odolańska – że dołożę wszelkich starań, aby wywiązać się ze złożonych obietnic. Zaistniała sytuacja jest zapewne wynikiem nieporozumienia.

Jestem przekonana, że nasz plat de résistance znajdzie się jeszcze dzisiaj.

IV

Bodo upił łyk wódki, schował piersiówkę, zapalił papierosa i westchnął głęboko.

- Zaczniście jeszcze raz, bo chyba nie rozumiem – zakomenderował. Polecenie rozeszło się echem między poustawianymi w magazynie dywanami.

Flap podrapał się po swojej wielkiej głowie. Jego zaczesane na boki włosy, z przedziałkiem pośrodku, wyglądały jak krzywo przycięte kawałki filcu. W odróżnieniu od Boda, któremu przydomek nadano nie z racji podobieństwa do znanego aktora, ale z racji stylu, w jakim się nosił, Flap rzeczywiście wyglądał jak bohater slapstickowej komedii. Podobnie, jak jego brat.

Bodo nie rozróżniał tej dwójki bliźniaków i nawet nie próbował. Obu nazywał tak samo, czemu ci zresztą się nie sprzeciwiali. Wydawało się nawet, że lubią być brani za jedną osobę. Może właśnie dlatego nosili identyczne garnitury?

Nawiasem mówiąc, oba za małe.

Flap spojrzał na brata, a tamten na leżące na podłodze zwłoki.

Zwłoki pachniały różami.

- Było tak – zaczął Flap. – Szef zna tych dwóch – wskazał skulonych pod ścianą mężczyzn, przywiązanych do siebie grubym sznurem. - Czasami podnajmuje ich pani Barbara.

Bodo skinął głową.

- No więc widzieliśmy, jak drałują jej automobilem...

- A Barbara jest nam dłużna – wtrącił się Flap.

- I zwleka ze spłatą – Flap spróbował ponownie przejąć kontrolę nad opowieścią.

- Dam głowę, że przez ten jej klubik. – Flap nie dawał za wygraną.

- Cokolwiek ona tam robi – Flap znów przejął inicjatywę – musi ostatnio cienko przecić...

- Przędź...

- Prząść – poprawił ich Bodo.

- Tak, przęść.

- No więc ostatnio cienko przędzie. A szef pamięta, jak nam mówił o inicjatywie i samodzielnym działaniu?

Bodo przytaknął.

- No, a szef wie, że nam dwa razy nie trzeba powtarzać.

- Odebraliśmy im automobil.

- I chcieliśmy przechować, dopóki nie będzie spłacone.

- To był klawy plan.

Bodo zakrył twarz dłonią, ponownie westchnął, po czym zgasił butem papierosa i zapalił kolejnego.

- Dlaczego więc pokazujecie mi trupa, a nie automobil? – zapytał spokojnie.

- Bo automobil spłonął...

Bodo zatrzymał rękę z papierosem w połowie drogi do ust i zamarł w bezruchu.

Flap i Flap spuścili głowy, jak dzieci przyłapane na kradzieży cukierków.

- Jak to: spłonął? – zapytał Bodo.

- Normalnie – odparł Flap.

- W płomieniach.

Bodo rozmasował nasadę nosa. Zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił kłęb dymu. Jakiś czas bawił się papierosem, rolując go między palcami, po czym wyjął Browninga i wystrzelał cały magazynek w dwóch związanych mężczyzn.

Flap i Flap cofnęli się odruchowo.

- Podrzućcie ich do Igo. Niech się nimi zajmie. – Bodo wyjął magazynek i zaczął go uzupełniać. – Nie podejmujcie już żadnych działań. – Kiedy skończył przeładować i schował pistolet do kabury. – Gdzie jest wrak automobilu?

- Z wrakiem wszystko git. Niech się szef nie martwi.
- Z wami nie można się nie martwić.

Flap i Flap, ze smutnymi minami, zdjęli z regału dywan i rozłożyli go na podłodze. Następnie rozwiązali martwych mężczyzn i przenieśli na niego ich ciała.

- Na razie was zostawiam – oznajmił Bodo. – Nie zróbcie nic głupiego. Pamiętajcie, że ten detektyw węszy za naszymi kamieniami. Nie chciałbym, żeby je znalazł. – Poprawiając kapelusz, ruszył do wyjścia. - Jutro spotkamy się u Igo – dodał, nie odwracając się. - Musimy zająć się księdzem. Chyba zasadza się na nasze blitwody. Nie powinniśmy zostawiać ich u niego. Ten łaps i tak pewnie by ich nie znalazł.

Gdy Bodo zamknął za sobą drzwi, Flap uniósł jeden z końców zwiniętego dywanu.

- Uważaj, bo upuścisz – przestrzegł go Flap, łapiąc z drugiej strony.

Przeszli parę kroków i zostawili pakunek przy wyjściu.

- Dobra, dawaj następnego.

Flap stanął nad zwłokami i przyjrzał się im uważnie.

- Wygląda, jakby spał – stwierdził.

- I jeszcze ten zapach. Jak z pieprzonej kwiaciarni.

Uznając, że to dobry czas na przerwę, Flap odszukał w kieszeni paczkę papierosów, poczęstował brata, po czym wyjął jednego, włożył do ust i zapalił. – Jak myślisz, jak on umarł?

- A kto go tam wie. Znasz tych lalusiów. Pakujmy go lepiej i miejmy to z głowy.

Kiedy ciała leżały już zawinięte przy wyjściu, Flap odsapnął i otarł pot z czoła.

- Zastanawiałeś się kiedyś, co Igo robi z tymi sztywniakami? – zapytał brata.

- Co ty taki ciekawski jesteś? Coś musi, skoro ich bierze.

- Ta pieczeń jest wyśmienita! – Wilhelm wypił setkę wódki i ukroił kolejny kawałek mięsa, podany na talerzy z emblematem restauracji, prowadzonej przez Igo Krylika.

Stojąca przy jego stoliku Zofia uśmiechnęła się smutno. Jej zmęczona twarz nabrała przez to gorzkiego wyrazu. Z jej uwiązanych, matowych włosów wysunął się ciemny kosmyk, opadając na skroń i policzek. Kobieta, wciąż krzywiąc usta w pozbawionym radości grymasie, poprawiła restauracyjny uniform i usiadła naprzeciw Wilhelma.

- Igo mnie zdradza - oznajmiła.

Detektyw spojrzał na nią uważnie, z widelcem zatrzymanym przed samymi ustami. Choć wstydził się do tego przyznać, wiadomość wywołała w nim uczucie zadowolenia. Nagle jego wizyta przestała być pozbawiona sensu. Gdyby tylko miał okazję z nią porozmawiać...

O tej porze restauracja była pusta. Secesyjna sala, z dużymi oknami i szeregiem zawieszonych na ścianach luster, wyglądała zbyt dystygowanie, jak na tak małe miasto. Kiedy Wilhelm zobaczył ją po raz pierwszy, zastanowił się, skąd mąż Zofii bierze pieniądze na utrzymanie tego lokalu. Było pewne, że restauracja nie zarabia na sobie.

Zofia sięgnęła po leżącą na stole paczkę papierosów i zapaliła jednego. W tym momencie w niczym nie przypominała kobiety, którą Wilhelm kochał przed laty.

- Nie wiem, po co w ogóle ci o tym mówię – odezwała się. – Przecież kiedy tylko znajdziesz te brylanty i tak stąd wyjedziesz.

Po twarzy Wilhelma musiał przebiec grymas zdziwienia, bo Zofia uśmiechnęła się i powiedziała:

- Pisali o tym w gazecie. Wszyscy interesują się kamieniami tej stołecznej pudernicy.

- Nie przyjechałem tu tylko po to. – Wilhelm sięgnął po papierosa. – To będzie moja ostatnia sprawa.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- A dlaczego ty mówisz mi o Igo?

Zofia wydmuchiwała smużkę dymu. W jej oczach przez chwilę zatlił się dawny blask i Wilhelm poczuł, że jego puls przyspiesza.

Kobieta zgasiła papierosa i zaczęła powoli obracać popielniczkę.

- Przez te wszystkie lata nie napisałeś nawet jednego listu – odezwała się słabym głosem. – Nawet się nie pożegnałeś, gdy wyjeżdżałam.

- Dziwisz się?

Podniosła na niego swoje ciemne, zmęczone oczy.

- Nie – odparła.

Odstawiła popielniczkę, skrzyżowała ręce na piersiach i odchyliła się lekko na krześle.

- Igo chce wyjechać do Warszawy – rzuciła. – Planuje otworzyć tam restaurację.

- A co z tą?

- To tylko mistyfikacja. Złudzenie. Gdyby nie Barbara Odolańska, musiałyby zamknąć ten pałacyk już po tygodniu. Nie wiem, co za przyjęcia urządza ta latawica, ale Igo nieźle na nich zarabia. A raczej zarabiał, bo od jakiegoś czasu Odolańska zalega z płatnościami.

Wilhelm bawił się przez chwilę papierosem, po czym zgasił go, wziął głęboki wdech i położył dłoń na dłoni Zofii.

- Posłuchaj – zaczął niepewnie. – Odłożyłem trochę pieniędzy. Wystarczy na jakiś czas. Możemy...

- Nas już nie ma Wil. Nie zapominaj o tym. - Zofia wyjęła dłoń z jego uścisku. – Lepiej skończ pieczeń. Pewnie już całkiem wystygła.

Chciała wstać, ale powstrzymał ją.

- Ostatnio dużo myślałem – odezwał się. – O wszystkim, co się wtedy wydarzyło. O tym, dlaczego nam się nie udało. Musimy...

Do środka weszli rośli bliźniacy w za małych garniturach. Wilhelmowi wydawało się, że zaraz potracą któryś ze stołów i spektakularnie zniszczą część sali. Gdyby nie rozmowa z Zofią, pewnie by się roześmiał.

Zofia wstała, żeby ich obsłużyć.

Pogorzelski zapalił kolejnego papierosa i wyjrzał przez okno.

Zbierało się na deszcz.

VI

- Chyba będzie padać.

Igo wzdrygnął się, słysząc za plecami głos Barbary. Na chwilę przymknął oczy i zastanowił się, czy dostrzegła jego walizkę. Potem wziął głęboki wdech i odwrócił się od okna.

- Kazałabym cię odwieźć, ale..

- Wyprowadzam się do Warszawy – przerwał jej. – Musisz sobie znaleźć innego kucharza.

Barbara przymrużyła oczy i przechyliła lekko głowę. Jej twarz nabrała wyrazu, którego nawet Freud bałby się oglądać, w obawie przed nieuleczalną traumą.

Igo zeszytniał. Jego policzek drgnął, a zęby zacisnęły się.

- To ciekawe, że zdecydowałeś się na to właśnie teraz. - Barbara wpatrywała się w niego, z papierosową firką tuż przy ustach, trzymając w dłoni swoje perły. Jej wargi poruszały się lekko, a oczy ścięły w proste jak brzytwa linie.

- Myślałem o tym już...

- Milcz – przerwała mu, nie podnosząc głosu. Zaciągnęła się papierosem i podeszła do niego.

Igo poczuł zapach jej francuskich perfum, owocu pracy Ernesta Beaux, sygnowanego przez Chanel. Oblepione słodkim aromatem powietrze wokół jej ciała wydawało się być pełne napięcia, jakby gęstsze i drżące.

- Naprawdę myślałeś, że ci się to uda? – odezwała się w końcu.

- O czym ty mówisz?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Całe miasto wie, że robisz interesy z Bodo. A ja wiem, że Bodo ma ciało świętego. I że wszystkie ciała trafiają do ciebie. – Barbara zacisnęła usta na szklanej fifce, zaciągnęła się głęboko i pokryła twarz Igo kłębem dymu. – Nie wiem, jak mogłeś sądzić, że się nie domyślę. Naprawdę musisz być głupi. A za głupotę zawsze płaci się najwięcej.

Igo przymknął oczy, a wszystko, co zdarzyło się później, wydawało mu się zaledwie snem. Potem nawet nie potrafił przypomnieć sobie większości rzeczy, jakie wtedy się wydarzyły. Wiedział tylko, że złapał Barbarę za włosy, wyjął jej z dłoni szklaną firkę, po czym wbił ją jej w oko, popychając głęboko palcem. Następnie kilkakrotnie uderzył głową Barbary o parapet, przypadkowo zrywając wiszące na jej szyi perły. Perły rozsypały się po podłodze, wraz z kilkoma wybitymi zębami.

Kiedy wychodził, trzymając w ręce przygotowaną wcześniej walizkę, Barbara wciąż żyła. Krztusząc się krwią, poruszała się nieznacznie, wstrząsana spazmami.

Na zewnątrz pachniało nadchodzącym deszczem. Zachmurzone niebo coraz częściej rozświeślał błysk gromu, którego dźwięk nie docierał jeszcze w to miejsce.

Igo ruszył na stację kolejową.

Pełne ozonu powietrze zwiastowało zbliżającą się burzę.

VII

Bodo wystrzelił dwa razy. Ojciec Jan uskoczył w bok i wbiegł na schody, zahaczając sutanną o gwóźdź wystający z jednej z belek. Dwie kule wbiły się w ścianę, strącając krzyż. Przez chwilę wydawało się, że ksiądz zechce wypalić ze ściskanego w dłoni rewolweru, jednak nie zrobił tego.

Bodo podszedł ostrożnie do poręczy i spojrzał w górę, przytrzymując ręką kapelusz. Zawinięte spiralnie stopnie ciągnęły się przed nim ku

kościelnej dzwonnicy. Przyciskając ramię do zimnego muru, postawił stopę na pierwszym z nich.

- Nie mam tych kamieni – odezwał się ksiądz. – Ktoś je ukradł. Musisz mi uwierzyć.

W odpowiedzi Bodo znów wypalił ze swojego Browninga. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym ruszył dalej, z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Prążkowana marynarka napięła się, utrudniając mu celowanie.

- Zaufałem ci – odezwał się. - Myślałem, że mogę na tobie polegać. Że mogę na ciebie liczyć. Ale ty postanowiłeś mnie zeszłoić. Wydmuchać dla kilku blitwodów! Aż tak ładnie się błyszczą?

Flap usłyszał kolejny strzał. Nie widział już Boda. Klęcząc przy martwym bracie, potrząsał nim teraz bezwiednie, przyciskając rękę do rany na swoim brzuchu.

Po chwili wstał, przeładował Colta i ruszył w stronę dzwonnicy. Szedł z trudem. Przed oczami pojawiały mu się ciemne plamy. Co kilka kroków potykał się o własne stopy, aż w końcu musiał wesprzeć się o ścianę. Gdy dotarł do schodów, z góry dobiegły go strzępy rozmowy.

- Nic nie rozumiesz – powiedział ojciec Jan. – Kamienie ma ktoś inny. Możesz je odzyskać. Musisz tylko odnaleźć świętego! To w jego ciele je schowałem!

Bodo nie słuchał wywodu księdza. Nacisnął spust, ale zamiast odgłosu strzału, rozległo się suche szcęknięcie. Odruchowo cofnął się o kilka kroków i zaczął szukać w kieszeniach naboí. Kiedy skończył uzupełniać magazynek, przeładował broń i odezwał się:

- Nie próbuj się tłumaczyć. I tak nie mogę ci odpuścić. To byłby precedens. Ustąpię raz i wszyscy zaczną traktować mnie jak kurwę. – Bodo znów zaczął iść w górę. Wydawało mu się, że dostrzega sylwetkę księdza. Wycelował broń, jednak nie strzelił. – Przecież wiesz, że facjenta to święta rzecz – kontynuował. - Że kiedy oddaję ci ją na przechowanie, to masz jej strzec jak hostii. A jeśli ktoś ci ją odbierze...

Bodo usłyszał huk wystrzału. Spory fragment poręczy wyleciał w górę, tuż przed jego twarzą. Na tyle blisko, że musiał się cofnąć.

- Widzę, że zmieniłeś taktykę – stwierdził z przekąsem.

Kolejny strzał strącił mu z głowy kapelusz.

- Nie pozostawiasz mi wyboru – dobiegł go z góry głos księdza.

Bodo wypalił dwa razy, trafiając w balustradę. Ojciec Jan odsunął się od schodów. Gangster wykorzystał tą chwilę, by wbiec na dzwonnice i oddać kolejny strzał. Przeciągły dźwięk uderzonego kulą dzwonu rozległ się w ich uszach przeraźliwym piskiem.

- A więc to koniec. – Głos duchownego był donośny i pewny. – Zróbmy to przynajmniej tak, jak należy.

Wyszli naprzeciw sobie. Ich kroki były pełne napięcia. Pistolety straszyły czernią luf, jak dzikie zwierzęta, próbujące zdominować przeciwnika.

Z zaczesanych do tyłu, utwardzonych brylantyną, włosów Boda wiatr wyrwał cieniutki kosmyk i rzucał nim teraz wściekle, tuż nad jego przymrużonymi oczami.

Z trzymanego przez księdza rewolweru wciąż unosiła się smużka dymu. Dotykając delikatnie spustu, duchowny ścisnął przywieszony do cingulum różaniec.

- Niech Bóg nam wybaczy...

Padł strzał.

Bodo poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Przełknął ślinę. Jego palec wciąż łagodnie łaskotał cyngiel, jednak nie nacisnął go. Ani teraz, ani przed chwilą.

Ksiądz Jan zgiał się wpół, przyłożył dłoń do brzucha i cofnął o kilka kroków. Spomiędzy palców wypłynęła krew. Choć dzwon na wieży pozostał nieruchomy, w uszach księdza rozległo się świdrujące, metaliczne bicie.

Bodo odwrócił głowę i zobaczył jak Flap, pólleżąc z Coltem wyciągniętym przed siebie, próbuje ponownie nacisnąć spust. Gdy kula przebiła grube, mięsiste ramię bliźniaka, wypuścił broń i opadł na plecy.

Jeszcze zanim Bodo ponownie spojrzał na księdza, wypalił ze swojego Browninga.

Jan poczuł nowe ukłucie, w okolicy serca. Łapiąc się kamiennej ścianie, zaczął strzelać na oślep, aż usłyszał suchy trzask pustego bębna.

Jedna z kul trafiła Boda. Rzucony na przestrzeloną barierkę, runął w prześwit między schodami, opróżniając magazynek w spiżowy płaszcz dzwonu.

Ksiądz Jan osunął się powoli na kamienną posadzkę. Rewolwer wypadł mu z dłoni. Poczerniałe niebo błyszczało się teraz niemrawo nikłymi gwiazdami, przysłoniętymi szeregiem chmur. Okno, przez które duchowny obserwował firmament, zaczęło drgać i oddalać się, aż znikło zupełnie, ustępując miejsca jaśniejącej pustce.

Ksiądz zdążył jeszcze poczuć na swojej twarzy gęste krople deszczu, zanim przestał czuć cokolwiek.

Zagrzmiało.

VIII

Wilhelm Pogorzelski ścisnął mocniej kołnierz płaszcza, przebiegł przez ulicę i wszedł do restauracji, na chwilę przed tym, gdy pierwszy grom oświecił brudne chodniki.

Na jego widok Zofia bez słowa wstała od stołu, przyniosła szklankę i nalala do niej wódki. Twarz kobiety była szara i nijaka, jak czysta, makulaturowa karta, na której odbijało się jedynie wspomnienie papieru, z którego została zrobiona.

Wilhelm zamknął drzwi na zamek, a kobieta w tym czasie zapaliła papierosa, chwyciła drugą ze stojących na stole szklanek i wypila jej zawartość, odchylając głowę głęboko w tył.

- Igo mnie zostawił – oznajmiła, odstawiając naczynie. – Wyjechał do Warszawy.

Wilhelm stanął przy stole. Przez chwilę trzymał w ręce paczkę papierosów, pukając w nią nerwowo palcem, po czym wyjął jednego z

nich i wetknął w usta. Nie zapalił go jednak. W końcu usiadł i zaczął stukać o blat pudełkiem zapalek.

- Nie wiem nawet, dlaczego tak się tym przejmuję. Przecież wiedziałam, że to musi się stać. Przynajmniej nie zostawił mnie bez niczego.

Detektyw zapalił papierosa i spojrzał na nią znad złożonych wokół płomienia dłoni.

- Restauracja – powiedziała, jakby w odpowiedzi na pytający wyraz jego twarzy. – Przepisał ją na mnie.

Pogorzelski milczał, zaciągając się papierosem do samego dna płuc. Wydawało mu się, że słyszy przy tym bicie własnego serca.

- Znalazłeś już te brylanty? – zapytała Zofia po chwili.

- Jeszcze nie. – Detektyw położył papierosa do popielniczki i opróżnił stojącą przed nim szklankę.

- A jeśli je znajdziesz... Czy wtedy wyjedziesz?

- A co według ciebie powinienem zrobić?

Zofia nie odpowiedziała. Przez chwilę szukała czegoś w kieszeni swojego fartuszka, po czym rozłożyła na stole aksamitną chustkę. Po blacie rozsypały się błyszczące, krystaliczne kamienie.

Wilhelm skrzywił usta, podrapał się po nieogolonym podbródku i westchnął przeciągle.

- Nie wiem, skąd Igo je miał – przyznała Zofia. - Pewnie część zostawił dla siebie. Ale tyle chyba wystarczy, byś mógł uznać tę sprawę za zamkniętą.

Pogorzelski z powrotem zawinął kamienie w chustkę i przesunął pakunek w jej stronę. Zofia ujęła jego dłoń spoglądając mu w oczy. Chciała odezwać się, ale Wilhelm położył palec na jej ustach.

- Ostatnie sprawy lepiej zostawiać nierozwiązane – powiedział i przechylił się przez stół, żeby ją pocałować.

IX

- Dziękuję i życzę panom przyjemnej podróży. – Kontroler schował napiwek i wycofał się w stronę drzwi prowadzących do przedziału. – Gdyby panowie jeszcze czegoś sobie życzyli...

- Wszystko jest w porządku – uciał Igo, dając mu do zrozumienia, że jego obecność jest zbędna. – Jesteśmy ogromnie wdzięczni za pańską uczynność. Dość jednak już pan dla nas zrobił.

- W razie konieczności proszę nie krępować się, by mnie wezwać. Jeśli pański towarzysz zechce...

- Mój towarzysz śpi i wolałbym go nie budzić.

Konduktor zrobił kwaśną minę, raz jeszcze skłonił się i wyszedł.

Igo zasunął drzwi przedziału, zamknął je i zaciągnął zasłony. Siadając na ławce przyciągnął do siebie wózek inwalidzki, położył usadowione na nim ciało obok siebie i wtulił się z rozmarzeniem w pachnącą różami skórę. Słodki zapach koił jego nerwy i czynił go szczęśliwym. Igo nie pamiętał już, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze. Kołysany monotonnym stukotem pociągu zasnął wreszcie, z poczuciem prawdziwego spełnienia.